

Francesca Haig

URODZENI JAKO BLIŹNIACY.
WYCHOWANI JAKO WROGOWIE.
POŁĄCZENI PRZEZ ŚMIERĆ.

Od czterystu lat na Ziemi rodzą się tylko bliźnięta. Jedno z nich, nazywane Alfą, jest zdrowe i silne; drugie, Omega, przychodzi na świat z defektami fizycznymi lub mentalnymi i musi zostać odseparowane od swojej rodziny, bo jest dla niej zagrożeniem.

Kiedy na świat przychodzą Cass i Zach, ich rodzice są w szoku. Niemowlęta wydają się idealne. Czy to możliwe, aby urodziły się dwie Alfy? Dzieci rosną i rozwijają się prawidłowo. Tylko Zach wie, że jego siostra miewa wizje oznaczające, że jest Omegą. Przerażona dziewczyna ukrywa to przed rodzicami. Jednak cierpliwość Zacha też ma swoje granice. Ponieważ oficjalnie nie wiadomo, które z nich jest Omegą, oboje nie mogą chodzić do szkoły i spotykać się ze znajomymi, a on przecież zasługuje na życie prawdziwej Alfy.

Jednak po śmierci ojca Cass zostaje zdemaskowana i trafia do miejsca skupiającego Omegi. Czy miłość rodzeństwa przetrwa tę próbę?

FRANCESCA HAIG – australijska pisarka, uzyskała stopień naukowy doktora literatury na Uniwersytecie w Melbourne. Jej wiersze były publikowane w Anglii i Australii. Mieszka w Londynie i jest wykładowcą na Uniwersytecie w Chester. *Ogniste oczyszczenie* jest jej powieściowym debiutem i pierwszą częścią postapokaliptycznej trylogii.

MBP Cieszanów
Ogniste oczyszczenie /



M000010871

cena sugerowana 3

o e-book

Francesca Haig

OGNISTE OCZYSZCZENIE



OGNISTE OCZYSZCZENIE



Rzuciłam linę na dno łodzi, u stóp Kimy. – W każdym razie, jeśli zerwie się wiatr, możemy się nauczyć, jak używać żagla – dodałam.

– Lepiej uważaj z takimi życzeniami – odparł Kima. – Moim zdaniem, dopóki siedzimy w tej łupinie, im mniej wiatru, tym lepiej.

– Zobaczmy, co powiesz po godzinie wiosłowania.

Zawsze kochałam wodę, bo wychowałam się nad rzeką, jednak to było co innego: nawet w spokojną noc, taką jak ta, wzbierające pod nami morze stanowiło o wiele bardziej natarczywy i gwałtowny żywioł.

Odnosiłam wrażenie, że okropnie hałasujemy, wykonując manewry, a ocieranie się naszej żaglówki o inne łodzie wydawało mi się strasznie hałaśliwe, ale na szczęście na biegnącej z góry ścieżce nie pojawiły się żadne światła. Po kilku minutach wiosłowania znaleźliśmy się już u ujścia zatoczki, gdzie fale były wyższe. Raz jeszcze przypomniał mi się Zach. Swego czasu często bawiliśmy się w rzucanie z mostu pustych strąków grochu, żeby zobaczyć, który szybciej spłynie z nurtem rzeki. Miałam wrażenie, jakbyśmy siedzieli teraz z Kimą w jednym z takich strąków pośród ogromu wody.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dobrze, że zawierzyłam impulsowi, który kazał mi wypłynąć tamtej nocy: pogoda okazała się wyśmienita, a światło księżyca było tak jasne, że jeszcze kilka godzin po odbiciu od mola widzieliśmy za sobą ląd. Później, gdy brzeg zniknął nam z oczu, fale zaczęły sięgać do pasa, ale ich ruch był jednostajny i rytmiczny. Odkryliśmy, że jeśli łódź ustawimy dziobem do nich i nie pozwolimy jej się obrócić, fale nie sprawiają zbyt dużego problemu. Po krótkich zmaganiach udało nam się postawić żagiel oraz nauczyć się prowadzić żaglówkę pod wiatr zygzakowatym kursem. Kima raz na jakiś czas zerkał w punkt, gdzie wcześniej widać było wybrzeże, ale pewność, z jaką odgrywałam rolę przewodniczki, wydawała się go uspokajać. W pewnym momencie, jakąś godzinę przed świtem, poradziłam mu, aby zwolnił.

– Niedaleko przed nami, pod powierzchnią wody, znajduje się skała; lepiej, żebyśmy na niej nie utknęli – ostrzegłam.

Czułam jej obecność niczym rzęsę w oku albo kawałek żwiru w bucie: była niezbyt wielka, lecz nie dało się jej zignorować.

Nawet w ciągłym blasku księżyca nie potrafiliśmy dostrzec niczego w ciemnej toni, wyciągaliśmy więc szyje we wszystkie strony, starając się utrzymać łódź dziobem do fal. Nagle zawołałam do Kimy, żeby mocno szarpnął rumplem w lewo,

a sama wbiłam swoje wiosło w wodę. Gdy łajba ostro skręciła w prawo, niecały metr od lewej burty ujrzelśmy inny odcień czerni. Pochłonęła ją następna fala, ale już chwilę później dostrzegliśmy raz jeszcze zarys zębatego grzbietu skały.

Od tamtej pory Kima nie zadawał już pytań na temat odległości do celu, tylko pozwalał mi w skupieniu mrużyć oczy. Przetrwaliśmy dzień, wydzielając sobie wodę skromnymi łyżkami. Potem nadeszła noc, która przyniosła trochę wytchnienia, chociaż wyglądało na to, że wzbierająca ciemność rozszerza ogrom morza. W końcu w wodzie nie dało się już niczego dostrzec, ale przynajmniej księżyc przyświecał na tyle jasno, żeby widzieć cokolwiek. Kiedy zaczęło świtać i fale zmały, postanowiliśmy się na zmianę zdrzemnąć. Położyłam się spać pierwsza, nie byłam jednak w stanie wykorzystać wyznaczonego mi czasu. Miałam nadzieję, że sen pozwoli mi zapomnieć o pragnieniu, ale gdy zamykałam oczy, suchość w ustach stawiała się jeszcze bardziej dotkliwa, a język wydawał się w nich nie mieścić.

Kiedy przyszła kolej na Kimę, on również przewracał się niezgrabnie z boku na bok, próbując w miarę wygodnie ułożyć się na dnie łodzi.

– Nawet na najgorszych moczarach i skałach, na których spaliśmy po ucieczce, tak nie bujało – stwierdził. – Ledwo jestem w stanie utrzymać otwarte powieki, ale za cholerę nie mogę zasnąć. Posuń się.

Kima wrócił na miejsce obok mnie i płynęliśmy dalej, podczas gdy za nami wstawało słońce.

Późnym popołudniem drugiego dnia, kiedy od słonego powietrza zdążyły już popękać mi wargi, natknęliśmy się na rafę. Oczekiwałam jej dzięki wizjom, ale nie spodziewałam się, że będzie ona stanowić aż tak zniechęcający widok. Z rozległej połaci morza wystawały bezlitosne skały: jedne sięgały nawet na wysokość dwóch metrów, inne kryły się tuż pod powierzchnią wody, a ich ostrość ukazywała się jedynie

w zagłębieniach pomiędzy falami. Rafa ciągnęła się tak daleko, jak byłam w stanie sięgnąć wzrokiem, i przypominała usianą głazami równinę otaczającą osadę, w której stała chata Alice.

Wiatr zelżał, ale precyzyjne sterowanie łodzią nadal było trudne, a przy postawionym żaglu wręcz niemożliwe, opuściliśmy go zatem i zaczęliśmy niepewnie wiosłować pośród nadziewanych skałami grzywaczy. Przestrzenie między fragmentami rafy miejscami były tak wąskie, że musieliśmy wciągać wiosła do wnętrza łodzi. Jeśli choć na chwilę zdarzyło mi się stracić koncentrację, skały natychmiast zaczynały się ocierać o dno żagłówki. Po dwóch godzinach naszym oczom ukazała się Wyspa: usiana była skałami równie ostrymi co rafa, z tym że miała kształt stożka i górowała nad otoczeniem. Pod pewnym względem widok Wyspy sprawił, że podróż stała się jeszcze bardziej frustrująca, gdyż nie mogliśmy popłynąć prosto w jej kierunku. Zmuszeni byliśmy podążać ścieżkami wyznaczonymi przez rafę, zawiłym szlakiem, który równie często wydawał się prowadzić nas ku Wyspie co odsuwać od niej.

Po kilku godzinach zabłądziłam. W dalszym ciągu wycozuwałam skały zgromadzone pod łodzią, ale straciłam niewidzialną nić, której się do tej pory trzymałam. Leżałam na dziobie z dłonią przytkniętą do wody i przeglądałam w głowie kształty, które się w niej pojawiały. Przez prawie godzinę po prostu dryfowaliśmy, a Kima nerwowo badał wiosłem wodę i odpychał ostre skały czające się pod jej powierzchnią. Skrobanie rafy o dno łodzi przypominało niekończące się zgrzytanie zębów. Te kilkanaście centymetrów drewna było zaledwie cienką błonką oddzielającą nas od świata wypełnionego skałami i mroczną wodą. Staralam się skupić, ale rozpraszały mnie potrzeby fizjologiczne. Słońce prażyło bez litości, a mnie pękała głowa, pulsując w zgodnym rytmie z ruchem fal. Wargi wyschły mi tak bardzo, że pękały przy każdym grymasie, ociekając krwią, która nie była w stanie zaspokoić mojego pragnienia.

Nagle większa fala zarzuciła łodzią w bok i dziób utknął na ledwo widocznej skale. Gdy przód żaglówki się unióśł, rufa się osunęła. Kima zerwał się na równe nogi, ale i tak stał już po łydki w wodzie, a każda fala tylko podnosiła jej poziom. Łódź stęknęła, kiedy zaczął się gramolić na dziób. We dwoje wbiliśmy wiosła w rafę, żeby zepchnąć łajbę ze skały. Udało nam się, jednak łódź do połowy była wypełniona wodą, która mocno ją obciążała. A każda kolejna fala spychała ją na żarłoczne skały.

Spróbowałam oczyścić umysł, ignorując wodę zbierającą się wokół kostek u moich nóg oraz zgrzyt kadłuba o kamień. Przypomniałam sobie, jak udało mi się zapanować nad własnymi myślami w Przechowalni, podczas przesłuchania prowadzonego przez Spowiedniczkę, i ponownie wyobraziłam sobie nóż do otwierania ostryg widziany w dłoni mamy wiele lat wcześniej. Przemieniłam swój umysł w ostrze.

I oto po raz kolejny ukazał mi się szlak wijący się pośród kawałków rafy. Wzięłam do ręki wiosło, żeby na nowo nas poprowadzić, i usłyszałam pełne ulgi westchnienie, jakie wydał z siebie Kima, po czym chwycił za wiadro i zaczął wylewać wodę z łodzi.

Jednak nawet po dotarciu do serca rafy, z którego wylaniała się Wyspa, nie wiedzieliśmy, w jaki sposób dobić do jej brzegu. Wyspa wyrastała z morza znienacka, a jej czarne klify były strome i gładkie. Nie wyglądała na zamieszkaną i nie wiadomo było, jak się do niej zbliżyć, nie mówiąc już o przedostaniu się na brzeg. Przez ponad godzinę wytyczałam wyczerpany umysł, żeby doprowadzić nas na wschodni kraniec Wyspy – kiedy się do niego zbliżyliśmy, dojrzeliliśmy szczelinę w klifie ledwo widoczną nawet z odległości kilku metrów. Jednak gdy przepłynęliśmy na drugą stronę pod stworzonym przez naturę sklepieniem przejściem, zanurzwszy się w cieniu rzucałym przez strome brzegi, naszym oczom ukazała się niewielka przystań. Na wodzie kiwała się gromada statków, z których

każdy był w innym kolorze. Wokół zatoczki ciągnęła się kamienista plaża, a na niej stała toporna wieża. Dwójka dzieci bawiła się na molo w świetle późnopopołudniowego słońca.

Kima obrócił się do mnie. Jego skóra pokryta była brązowo-białymi cętkami od słońca i soli morskiej, a wargi popękane. Wyglądał niemal jak ktoś inny, dopóki nie wyszczerzył zębów w szerokim uśmiechu.

– To wszystko prawda – powiedział.

Podróż okazała się dla mnie piekielną przeprawą, ale przez cały czas wiedziałam, że na końcu czeka na nas Wyspa. Zdałam sobie jednak sprawę, że dla Kimy był to tylko przejaw wiary. Wiary w Wyspę, wiary we mnie. Gdy otoczyło nas nabrzeże, uniosłam wzrok na szczyt, który wyzywająco mierzył w niebo. Odpowiedziałam Kimie uśmiechem, który chwilę później przerodził się w śmiech, a on przyłączył się do mnie. Nasz rechot był ochrypły, głosy mieliśmy przeżarte solą, ale nic ich już nie krępowało. Po raz pierwszy od momentu ucieczki z Wyndham było nam obojętne, że ktoś może nas usłyszeć. Mewy zerwały się z masztów zacumowanych statków, a dzieci wbiły w nas wzrok.

Gdy wiosłowaliśmy w kierunku pomostu, z którego dwójka dzieci obserwowała nas w milczeniu, zdałam sobie sprawę, że coś z nimi jest nie tak. Nie chodziło o deformacje, które wyraźnie rzucały się w oczy, ale nie stanowiły rzadkości: chłopczyk był karłem o kończynach nieproporcjonalnie krótkich w stosunku do krępego korpusu, podczas gdy dziewczynka miała między palcami u rąk i u nóg błony pławne. Wiele razy widziałam tego typu rzeczy. Co w takim razie zwróciło moją uwagę? Dopiero gdy przywiązaliśmy linę do mola i wspięliśmy się po metalowej drabinie, a dziewczynka uniosła dłoń, żeby odgonić muchę, uzmysłowiłam sobie, że żadne z nich nie zostało napiętnowane. Widok nieskazitelnej cery na ich czołach przepełnił mnie tak wielką przyjemnością, że zapomniałam o pragnieniu. Spojrzałam na Kimę i dostrzegłam, że

on też musiał to zauważyć, gdyż wpatrzony w dzieci nieświadomie przesunął palcami po swym własnym piętnie.

– Jesteście obcy? – spytał chłopiec.

Mój towarzysz przyklęknął obok niego, wskazał na mnie ruchem głowy i konspiracyjnym głosem oznajmił:

– Zgadza się, ja mam na imię Ob, a ona Cy.

Dziewczynka parsknęła śmiechem, ale chłopiec zachował poważny wyraz twarzy.

– Jeśli jesteście obcy, to musimy zawiadomić Owena – oznajmił.

– Dobry pomysł – zgodziłam się. – Może nas do niego zaprowadzicie?

Dzieci powiodły nas ścieżką wijącą się stromo w górę, ale nie zdążyliśmy przejść więcej niż kilka metrów, gdy z wieny wypadło trzech mężczyzn w niebieskich strojach i zaczęło biec w naszym kierunku. Kima uniósł dłoń w powitalnym geście, lecz mężczyźni nie zwolnili, a ja z niepokojem dostrzegłam, że trzymają w dłoniach miecze. Kima obrócił się do mnie.

– Nie mamy dokąd uciekać – stwierdziłam.

Byłam zbyt wycieńczona, żeby płakać. Czekaliśmy więc, aż wzniesiona dłoń Kimy z powitalnego zmieniała się w gest kapitulacji.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dopadli nas niedługo potem. Mimo że chwilę wcześniej podniosłam ręce, podobnie jak Kimę powalono mnie na ziemię, a jeden z mężczyzn przycisnął mi plecy kolaniem. Najroślejszy z nich przekręcił mi głowę na bok i szybko przesunął palcem po piętnie na moim czole, kiedy próbowałam wykaszeleć piasek z ust. Leżącemu obok mnie Kimie darowano podobne badanie, gdyż jego pusty rękaw mówił sam za siebie. Cała operacja odbyła się w całkowitym milczeniu, które przerywało posapywanie napastników. Kolano jednego z nich nadal wbijało mi się w kręgosłup, a dłoń przyciskała moją twarz do piasku.

W końcu odezwał się najwyższy z mężczyzn, ale zamiast do nas zwrócił się do dzieci:

– Ile razy przestrzegano was przed obcymi, co? Macie wołać strażę za każdym razem, gdy widzicie nieznaną łódź albo osobę.

– Właśnie do was szliśmy – zaprotestował chłopiec. – Wiedziałem, że to obcy.

– On nazywa się Ob, a ona Cy – dodała dziewczynka, chcąc pomóc.

Wyglądało na to, że niefrasobliwe zachowanie dzieci uspokoiło mężczyznę.